

11-700.
I A. 565.678
ZWIĄZEK TOWARZYSTW MŁODZIEŻY

Teatr dla Młodzieńców

Nr. 10.

DWAJ BRACIA

TRZYAKTÓWKA Z ŻYCIA
ŚW. STANISŁAWA KOSTKI

NAPISAŁ

ZBIGNIEW TOPÓR



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ ————— WARSZAWA



30001009234084

Osoby:

• Paweł Kostka

- Jan Biliński, jego nauczyciel — (magister)
- Kimberker, senator niemiecki, właściciel domu
- Hans, syn jego
- Hugo von Schwarzenberg } przyjaciele Pawła
- Zbigniew Karski }
- Jan Tarnowski, przyjaciel Stanisława Kostki.

Służba Kostków:

Wawrzyniec Pacyfik

Tymek

Filip

} pacholankowie.

Rzecz dzieje się w Wiedniu w sierpniu r. 1567
w pałacu senatora Kimberkera.



I 1565.678

Charakteryzacja i charakterystyka.

O s o b y: Osób jest 10 i głos za sceną. Stroje z wieku XVI-go.

S ł u ż b a: Filip, Tymek i Pacyfik w długich butach; ubrani ciemno i skromnie.

Filip: lat 14, o głosie cieniutkim i ruchach niezgrabnych, powolnych, z półotwartymi ustami i zagapiony, nie słyszający często, co się doń mówi, ale dobry i pilny.

Tymek: lat 13, bystry i zręczny, ale leniwy i urwliwy.

W a w r z y n i e c P a c y f i k: stary z siwymi wąsami i włosami; przemawiający wolno basem i tak, jak gdyby był ojcem i opiekunem wszystkich obecnych, często pokasływający i gderzący na pacholców.

Polacy: oprócz Billńskiego w kontuszach i przy karabeli.

Jan Tarnowski: lat 15, poważny, skupiony, przemawiający dobitnie, lecz bez pychy ze spokojem.

Zbigniew Karcki: w wieku lat 15. Żywy, ruchliwy, poruszający się prawie bezustannie.

Paweł Kostka: lat 18, o ruchach gwałtownych, niespodziewanych, chmurny, mówiący ostro i prędko.

Jan Biliński: lat około 30, o ruchach niepewnych, o twarzy okolonej czarną wąską brodą. Ubranie czarne męża uczonego.

Niemcy: Schwarzenberg ubrany, jak rycerz, obydwaj Kimberkerowie jak mieszczanie niemieccy.

Hugo von Schwarzenberg: lat 18, otyły, powolny, mówiący głośno, rubasznie o ruchach ocieźiałych i niezręcznych, mało zajmujący się otoczeniem, zapatrzony tylko w kielich i misę.

Hans Kimberker: lat 17, sztywny, o wzgardliwym, niedobrym uśmiechu, przebiegły i tchórzliwy, nie odstępujący Pawła i szepczący z nim ciągle.

Senator Kimberker: rosły, tęgi mężczyzna o pysznym, marsowem obliczu i gęstej białej brodzie, trochę łysy.

Uwaga. Pacyfik, Kimberker stary i Biliński powinni być wyżsi od innych.

Inscenizacja.

Akt I.

Komnata u senatora: wprost, trochę na lewo okno we wnęce szerokiej, gdzie stoją 2 krzesła z wysokiem oparciem, między nimi stolik, wchodzi się do wnętrza po 2 stopniach. Szybki w oknie małe, kolorowe, okno wysokie podłużne. Na prawo od okna duża okuta skrzynia, obok w rogu niskie wyjście do przyległej izby zasłonięte ciemno-czerwoną kotarą, obramowaną złotem u dołu. Na prawej ścianie w środku piec-kominek z białych i zielonych kafli, więcej z przodu drzwi okute. Na lewej ścianie, w środku drugie wyjście; na lewo od wyjścia, na trójnogu mosiężnym srebrny wielki kandelabr ze świecami; na przedzie, na prawo od wyjścia wielka skrzynia malowana kolorowo. Nad obu skrzyniami półki. Na półkach i plecach poustawiane srebrne i porcelanowe tace, miski, talerze, dzbanki, kubki. Na środku komnaty, z lewej ku prawej stronie długi drewniany stół na rzeźbionych kozłach, od tyłu trzy, po bokach po jednym, z przodu dwa stołki na trzech nogach. Pod półkami, na podłodze pod stołem porozścielane kobierce, kilimy.

Uwaga. Okucia drzwi i skrzyń, jako i obramowanie kotary i wzory na kilimach mogą to być wycinanki z kolorowego papieru. Zamiast stołków mogą być ławy. Piec

można zrobić z komody szerszej i postawionej na niej węższej szafki oblepionych od strony widzów papierem zielonym i białym. Można obyć się bez kandelabru i świec.

Przybory potrzebne w I. akcie: kobierzec do wyłożenia wnętrza, szachy, kilimek, czy obrusik ciemny na stół we wnętrzu; dwa albo trzy dzbany, 9 dużych kielichów, 9 szklanek, 9 talerzy porcelanowych, duży biały obrus obramowany u dołu złotym wzorem.

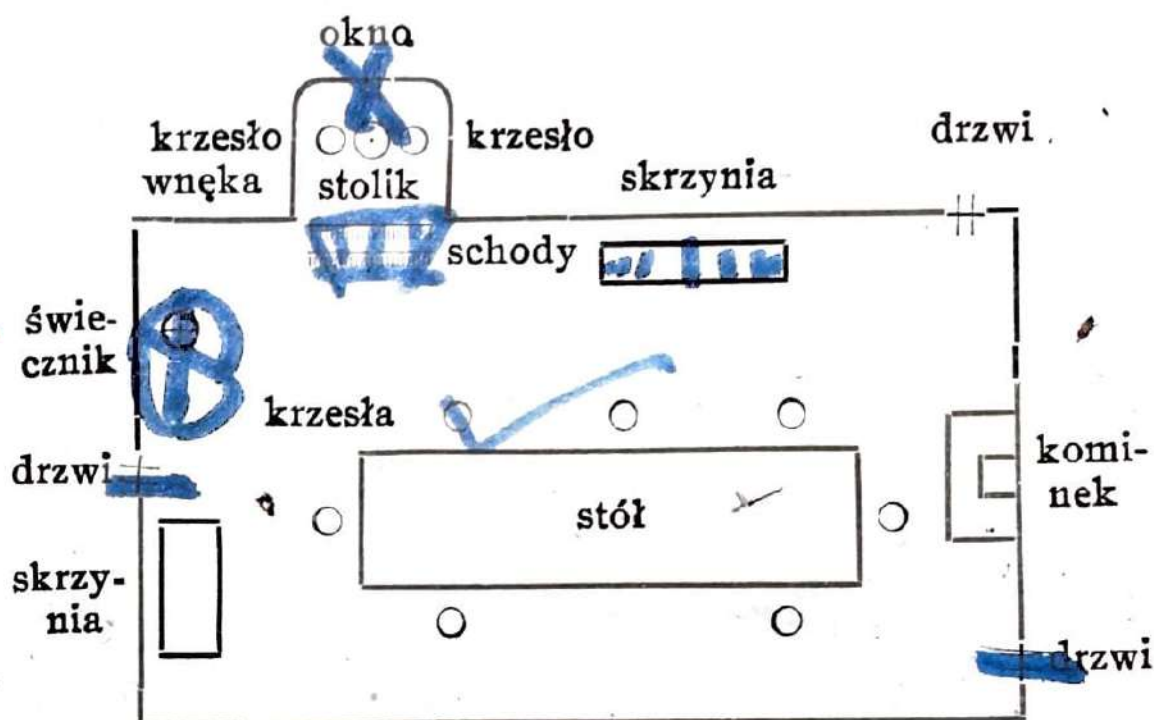
Akt II.

Komnata senatorska, jak w pierwszym akcie, ale kobierce i kilimy rozesłane, stół nakryty i t. p., świece zapalone. Na stole kieliszki i dzbany, bochenek chleba na drewnianym talerzu, 2 srebrne półmiski z płaczkami (mogą być wypchane bażanty lub koguty ubrane papilotami). Z lewej strony komnaty przy drzwiach beczka z winem na kozłach. We wnętrzu stół nakryty, szachy rozłożone.

Akt III.

Komnata senatorska jak w drugim akcie, w miejscu beczki świecznik jak w I. akcie, a zamiast długiego stołu mniejszy, najlepiej okrągły i trzy krzesła o wysokich oparciach.

Uwaga. Światło różowe można wytworzyć, stawiając za oknem lampę, owiniętą w czerwoną bibułkę.



Uwagi ogólne. Wyrazy mniej znane, zachodzące w sztuce są: »wnąka« czyli zagłębienie w murze; »kilimy« rodzaj dywanów wyrabianych przez lud polski; »magister« dawne łacińskie wyrażenie, oznaczające nauczyciela; »kotara« znaczy zasłona; »kandelabr« tyle co świecznik kilkoramienny. Można wyrazy te przyswoić młodzieży lub w razie trudności zastąpić innemi.

Treść dramatu zaczerpnięto z dzieła ks. Hilarego Koszutkiego p. n. »Święty Stanisław Kostka, patron Królestwa polskiego, i Jego Wiek«. Postacie wszystkie prócz Schwarzenberga, Hansa, Karskiego, Tymka i Filipa są historyczne. Przyjaciół Węgier otrzymał zmyślone imię »Ilko«. Jan Tarnowski jest to późniejszy Prymas Polski, zmarły w roku 1604.

Piosenki przytoczone nie są historyczne; dla ułatwienia młodzieży zastosowano pieśni do Śpiewniczka narodowego. Zamiast Godzinek można zaśpiewać jaką inną pieśń do Matki Boskiej.

Akt I.

Wszyscy biorą udział.

Scena I. Tymek (sam).

(Komnata u senatora, pusta, potem Tymek).

Tymek *(z prawej strony zagląda i wsuwa się ostrożnie)*. Jest tu kto? *(rozgląda się po komnacie, potem przechodzi dużymi krokami tam i zpowrotem)*. A dzięki Bogu, niema tu tego nudnego Pacyfika, bo to zaraz do roboty pędzi, pracuj i pracuj cały dzień *(staje na środku izby i naśladuje gruby głos Pacyfika)*. Tymek! Tymek! a ruszysz ty wlasnie do roboty *(naśladując pociąganie wasa i kręcenie go)*, bo to człowiek na stare lata nie, tylko tych chłopaków pilnować; *(przerywa naśladowanie, biegnie do drzwi i wygląda przez nie)* nie widać go *(wraca na środek izby, wchodzi na stół i siada na stole, zlekka huśtając nogami)* tak! teraz mi wygodnie i przyjemnie, żeby tylko długo, długo nikt nie przychodził i nie kazał mi pracować.

A za lasem wołki moje, za lasem,

A mamci ja fujareczkę za pasem,

A wyjmę ja fujareczkę z za pasa,

Wyjdą, wyjdą wołki moje z za lasa.

A wyjmę ja fujareczkę, będę grać,
A będą się moje wołki do dom brać,
Jak ja na mej fujareczce zagraję,
Usłyszają mię wołki moje o staję.

Jak ja zacznę na fujarce wygrywać,
Będą się moje wołki odzywać,
A w lesie są moje wołki, w lesie są,
Nie pójdzie tam kochaneczka, muszę sam.

Filip (*za sceną*). Tymoteuszu!

Tymek (*naśladując jego piskliwy głos*)
A czego?

Scena II. Tymek, Filip.

Filip (*z prawej strony wehodzi prędko a niezgrabnie*). Słuchaj, musimy... (*sposłyszega Tymka siedzącego na stole*). Rany Boskie! (*załamuje ręce*).

Tymek (*łobuzowato*). Co ci się stało?

Filip (*wciąż załamując ręce*). Ty sledzisz na stole?

Tymek. Myślałeś, że na płocie?

Filip (*machając do wtóru rękoma*). A bo to Pacyfik zaraz przyjdzie i kazał ustawiać dla panów do wleczery.

Tymek. I — to czas jeszcze; tyle ustawimy! —

Filip. Ale Pacyfik kazał, że to będzie wielka dziś uczta — złaż ze stołu, Tymek!

Tymek. Właśnie, że nie. Podobają mi się tu sledzić, to siedzę i będę.

Scena III. Tymek, Filip, Wawrzyniec Pacyfik.

Pacyfik (*wchodzi z prawej*). A to co, wiskusy, guzołapy? Ja wam tu zaraz. (*Tymek zobaczywszy Pacyfika, zeskakuje czem prędzej na podłogę, Filip kałamuje ręce*).

Filip. Rany Boskie!

Tymek (*jąkając się*). Ja — tu — z Filipem właśnie szedłem po koblerce, chcieliśmy porozściełać.

Pacyfik. Będziesz ty mi się wyłgiwał, a Boga to się nie boisz i świętego Jana Nepomucena, co go to za bogobojne milczenie utopili! Ty! (*do publiczności*) on szedł właśnie do roboty i przysiadł sobie po drodze na stole, słyszane to rzeczy.

Filip. Nie ślerdźcie się już tak, święty, jak mu to tam?

Tymek (*markotnie*). Jan Nepomucen.

Filip. Toby nic nie mówił, bo jak nie mówił, tak też i nie mówił i tyle.

Pacyfik (*podniesionym głosem*). A ja jestem Wawrzyniec Pacyfik, rozumiesz?

Filip (*wystraszony*). O święty Archaniele Michale!

Tymek (*przymilając się*). Starszy kasztelanic Paweł to powiada, że wy doskonale potraficie zwierza tropić, że — powiadał — Wawrzyn to jedyny do polowania, jedyny.

Pacyfik (*udobruchany*). Co mi tam będzie o polowaniu (*pociąga węża, Filip stoi ciągle zagapiony, Tymek zakłada ręce za pas i przytakuje głową*) tak, tak — było się to młodym. Ze starym kasztelanem, albo i z panem Wojciechem jeździłem paradnie, a teraz co? Niemiecki bruk w tym Wledniu butami wydeptywać, kurzu miejskiego nałykać się i w tym — Boże odpuść — heretyckim domu obcych panków plugawej mowy słuchać, hej, hej, nie było to, jak nasze Kostkowo!

Filip. A czemuście też to tu przyjechali?

Pacyfik (*gniewnie*). Pytaj się mądra głowo! A ty tu skądś się wziął?

Filip. Tego to ja nie wiem, ale tatulo kazali, powiadają raz: pojedziesz z paniczami do niemieckiego miasta, takem też nie myślący pojechał, służba, to służba, a matula płakali.

Tymek (*naśladując płacz*). O—o—o— wytrzymaj rękawem ślepią, wytrzymaj (*wyciera mu własnym rękawem oczy*). Tak, mój Filipku, tak!

Pacyfik. Dosyć tych zbereżeństw i psich figli, dalej do roboty, bo was tu zaraz rzemykiem, jednego z drugim. (*Tymek staje we frontowej pozycji, Filip drapie się za uchem*). Przyśleście obrus i kilimy.

Tymek. A klucz od skrzyni?

Pacyfik. Głupiś — też wszystko zawsze obmyśli (*wyciąga z za pasa klucz*). Filip wy-

starczy, a ty stołki poodstawiaj (*wychodzi na lewo, Filip za nim*).

Scena IV. Tymek.

Tymek (*sam, odsuwając stołki od stołu*).
Mnie tu w tym Wiedniu to podoba się bardzo i pan Paweł i te niemieckie pany, a nawet on heretyk Kimberker to swoje rozumienie mieć musi, zacień wygląda w złotym łańcuchu, a te wleczcze, te przygrywki, przyśpiewki, to prawdziwe wesele; (*zamyśla się*) w Kostkowie też kapela dworska była, ale byłem mniejszy, a tu czasem i ze dzbana pociągnę, jak zostanie (*krzając się*) o! kasztelanie Paweł to umie po pańsku żyć! (*Śpiewa*).

Idzie Maciek przez wieś z bijakiem za pasem,
Przyśpiewuje sobie dana, dana czasem;
A kto mu w drodze stoi,
Tego pałką przez łeb zło!
Oj ta dana, dana, dana, dana, da.

Oj, bieda nam, bieda, że nasz Maciek chory,
Już w karczmisku nie był ze cztery wieczory;
Oj, któż nam tu zaśpiewa,
Oj, któż nam kupi piwa.
Oj, ta dana i t. d.

Umarł Maciek, umarł, już leży na desce,
Gdyby mu zagrali, podskoczyłby jeszcze,
Bo w Mazurze taka dusza,
Gdy zagrają, to się rusza,
Oj! ta dana i t. d.

Umarł Maciek, umarł, już więcej nie wstanie,
Zmówmy zań pobożnie wieczne spoczywanie.
Oj, był to chłopak grzeczny,
Oj, szkoda, że nie wieczny.
Oj! ta dana i t. d.

Położyli Maćka na sam środek wioski,
Zeszli się do niego kmotrzy i kumoszki,
Już nikt mu nie pomoże,
Bo Maciek zmarł nieboże.
Oj! ta dana i t. d.

(Pacyfik i Filip wracają z lewej strony, Filip pierwszy niosąc kilimy i obrus, Pacyfik za nim dxwoni kluczami. Tymek przestaje śpiewać.)

Scena V. Tymek, Pacyfik, Filip.

Pacyfik. Połóż wszystko na stolku. Rozłóżcie obrus, *(chłopcy nakrywają stół)* świecznik na środek *(Tymek bierze go i stawia)*, a teraz Tymek tak we wnęce, żeby mi wszystko należyty wygląd miało *(chłopcy zestawiają obydwa krzesła i stolik, rozścielają kobierzec, ustawiają wszystko zpowrotem, nakrywają stolik. Tymek wychodzi po szachy na lewo, wraca z niemi, rozstawiają je, w tym czasie Pacyfik chodzi po izbie, gwarząc sam ze sobą, pokastywając raz po raz i ciągnąc wasa).*

Pacyfik *(w czasie gdy chłopcy pracują).* Tak, tak, dziwne to teraz czasy, a dziwne. W takim heretyckim — Boże odpuść — domu. I codzień wleczcze, a pijaństwo, a granie w ko-

ści, a śpiewki nieprzystojne. Ale pan Stanisław mówił, a rączeta białe składał, a prosił, a klękał przed panem Blińskim i przed starszym kasztelanem, a pytał: jest też to dom bogobożny? — (*chodzi zamyślony*). Ano nie pomogło — pan Paweł się uparł — czysty rodzic — jak się Kostka uprze, to go i czterema końmi z miejsca nie ruszysz — nie i nie! Albo tu zamieszkamy, albo do gniazda rodzinnego wróć! powiada. Obrza Boska! (*Chłopcy pokonczyli*).

Tymek (*stając przed Pacyfikiem*). A teraz co?

Pacyfik. Poprzynoście dzbany, szklenice, kielichy, dziewięciu panów będzie.

Scena VI. Pacyfik (*sam*)

(*chłopcy wychodzą na lewo*).

Pacyfik. A jeszcze żeby to sami pił, czlekby powiedział: młode piwo wyszumi się, ale gdzie tam. Złe to jak pajak, niedosyć, że własny swój kąt zaśmieci, ale jeszcze wszelki brud do się ciągnie na zatracenie. Już też tego panicza Stanisława, to nadręczą jak męczennika.

(*Chłopcy wnoszą dzbany i t. p.*).

Scena VII. Pacyfik, Tymek, Filip.

Pacyfik (*do Tymka*). A nie wiesz ty, czy panicz Stanisław w domu?

T y m e k. Myślę, że będzie w swojej izbie, bo wychodzącego nie widziałem, ale pójde obaczyć, pozwolicie?

F i l i p. Lepiej nie chodź, on tam pewnie z aniołami gada...

P a c y f i k. A ty skąd wiesz?

F i l i p (*drapiąc się za uchem*). Bo, bo —

T y m e k. No, gadajże, szlachetny rycerzu.

F i l i p (*trąc uszy w zakłopotaniu*). Bo ja tam — (*uderza się w piersi*) moja wielka wina — zaglądałem przez odemkniętą kotarę (*pokazuje dużym palcem prawej ręki przez ramię ku zasłoniętemu na prawo w rogu wyjściu*) to — święty Michale Archaniele, myślałem że padnę przed tym naszym paniczem, jak przed obrazem w kaplicy...

(*Pacyfik kiwa głową i wąsa pociąga, Tymek kręci się niespokojnie na miejscu*).

To był ci uniesiony nad ten przy łożu ko-blerzec, na którym klęczał, był w powietrzu, prawdziwie w powietrzu z rozłożonemi ramionami. — Rany Boskie, rany Boskie!

T y m e k (*przejęty*). Widziałeś naprawdę, nie łżesz?

F i l i p. Jak pragnę zbawienia mojej grzesznej duszy.

T y m e k. Że też tyś widział, a ja nie.

P a c y f i k. To święty! (*stoją wszyscy przez chwilę w zadumie*). Chłopcy! (*ociera rękawem*

oczy) nie mówcie o tem leplej nikomu — (gniewnie) ja wam rozkazuję nie gadać, słyszycie?

Filip. Obiema uszami, jak jeno mogę najbardziej!

Tymek (najpierw półgłosem, a potem śmiejąc). A ja to wiem czemu. — Pan Paweł to niełaskawy na te nabożeństwa brata, radby widział, żeby z nim razem zabawiał się w kompanji (przymilajaco do Pacyfika), prawda?

Pacyfik (macha ręką żałośnie). Ano, takie ma rozumienie.

Tymek (zuchowato). Bo też panicz Stanisław to niepotrzebnie tak modli się ciągle i pokutuje. A czy to grzech poweselić się czasem? — e — jabym tam w nocy spać wołał, a nie z różańcem klęczeć...

Pacyfik (przyskakuje do niego i za ramię potrząsa). Ty — ty — taki i owaki, jeszcze mi się waż słowo na mego panicza powiedzieć.

Filip. O dla Boga — Matko Częstochowska ratuj!

Pacyfik (trzymając Tymka, który pragnie się uwolnić). Ty — nie rozumiesz, nie! (puszcza go i chodzi wzburzony po komnacie).

(Tymek i Filip cofają się na lewo do drzwi). Pewno, że on pokutować nie potrzebuje, bo gdzie ten święty anioł mógł Boga obrazić, toć od maleńkości jeno rączki składał, a zalewał

się łzami czułości niebieskiej, ale mu grzechów brata wstyd, ale mu żal, że tu codzień takie zabawy tylko, zamiast rzetelnej pracy albo modlitwy, ale to mu nie zarówno, rozumiesz?

Tymek (*pokornie opuszczając głowę*) Rozumiem!

Pacyfik (*smutno*). A dla ciebie to on był zły kiedy? Obsługiwać ci się kazał?

Tymek (*podejmuje Pacyfika pod nogi*). Prawda, ojcze! Ja nie chciałem źle powiedzieć

Filip. Pan Paweł to zawsze butem za-
błoconym we mnie rzuca — a młodszy panicz
nierzaz powiedział grzeczne słowo.

Tymek (*nieswój jeszcze*). Ale — ale —
ja słyszałem — ja wiem — tylko boję się po-
wiedzieć.

Pacyfik. Co takiego?

Tymek. Jenó nie powiadajcie, że wy-
gadał.

Filip. Nie będę gadał ani nawet głośno
nie pomyślę.

Tymek. Pan Paweł zapowiedział, że dziś
na wieczerzy musi młodszy panicz też być
a jakby się wzbraniał, to tak długo będzie bił,
aż nic z niego nie zostanie. Tak mówił i za-
klinał się i z panem Hansem zakład o polskie
złote zrobił, że panicz Stanisław będzie z nimi
siedział, wino pił i grał w kości.

Pacyfik (*zalamując ręce*). Święty Stanisławie Biskupie, miej go w swojej oplece!

Filip (*chwytając się za głowę*). O dla Boga! Dla Boga!

Tymek. Tak powladał, słyszałem, jak się umawiali.

Scena VIII.

Jan Tarnowski, Pacyfik, Tymek, Filip.
(*Z prawej strony wchodzi Jan Tarnowski. Chłopcy stoją z lewej przy drzwiach. Pacyfik na środku.*)

Jan Tarnowski. Niech będzie pochwalony Pan nasz Jezus Chrystus!

Pacyfik i chłopcy. Na wieki wieków amen.

Filip (*do Tymka*). Kto to jest?

Tymek. Nie wiesz? To jest pan Jan Tarnowski.

Pacyfik (*klaniając się dłonią*). Witajcie nam, szlachetny panie!

Tymek (*klaniając się*). Witajcie nam, kasztelanicu kujawski!

Filip (*do Tymka, ciągnąc go za rękaw*). A'ja co mam powiedzieć?

Tymek (*półgłosem*):

Witam!

Pytam!

Głupim!

Kwitam

Filip (*kłaniając się nieexgrabnie*). Witam, pytam, witam.

Pacyfik (*gniewnie*). Cichaj tam! (*do Jana Tarnowskiego, który głową uprzejmie chłopcom kiwa, a rozgląda się po komnacie*). Wielce uradowani będą panicze nasi, żeście panie kasztelanicu na dom ich łaskawi.

Jan Tarnowski. Przyjaźń moja dla zacnego rodu Kostków jest szczerą i serdeczną, lecz z żalem wyznać muszę, że niechętnie (*dotykając ramienia Pacyfika*), mój dobry Pacyfiku, bardzo niechętnie dom wasz nawiedzam.

Pacyfik (*opuszcza głowę*). Rozumiem ja to, rozumiem, (*rozklada ręce*) co czynić?

Jan Tarnowski. Dziś poczynąć cośkolwiek trudno jest — Łasce bożej sprawę polecić, a może odmienia się myśli Pawła; (*duma chwilę*) najwięcej mi markotno, że biedny Stanisław tak nad tem clerpi, czy można go odwiedzić? (*zmierza ku drzwiom zasłoniętym kolarą*).

Pacyfik. Sądzę szlachetny panie, że panicz nasz modli się teraz (*Jan Tarnowski, który był chwycił brzeg zasłony, puszcza ją i wraca na środek izby*).

Jan Tarnowski. Ach tak, myślicie? Ano to przeszkadzać nie godzi się!

Tymek (*półgłosem*). Panicz Stanisław przez dzień cały odmawia paclerze!

Pacyfik (*gniewnie*). A ty co tu masz do gadania? Ruszajcie mi zaraz obaj do roboty! (*chłopcy wychodzą na lewo — do Tarnowskiego*) darujcie kasztelanu, ale wolałem ich wyprawić.

Scena IX. Pacyfik, Jan Tarnowski.

Jan Tarnowski. Nie trudźcie się dla mnie — odejdę (*zmierza ku drzwiom na prawo, wraca, ale (wskazując na stół nakryty)*) czy tu znów sposobicie się na ucztę?

Pacyfik. Tak jest — mają być goście z miasta i na was także nakryto.

Jan Tarnowski. Na mnie?

Pacyfik. Tak panie, bo to, bo (*pociera dłońią czoło*) powiem wam prawdę, jakem ja wyrozumiał. Otóż pan Paweł prosić was kazał, miał Tymekbiegnąć, że to dziś panicz Stanisław też będzie na wleczery.

Jan Tarnowski. Staś tu na ucztę z heretykami? niepodobna!

Pacyfik. Nie wiem tego dokładnie, ale chłopcy tu przebąkują, że pan Paweł zaprzyślał się go do tego nakłonić.

Jan Tarnowski (*uderzając po głowni karabeli*). A, to nikczemny!

Pacyfik. Ma tak być, on już go nieraz namawiał i prześmiewał się razem z panem Hansem, a stary senator słowa urągliwego też nie poskapi.

Jan Tarnowski. A nauczyciel, pan Biliński, co na to?

Pacyfik (*wzruszając ramionami*). Pan Biliński jak to on i temu mówi i temu, pana Pawła się boi, a z Niemcami pakuje, najczęściej to jeszcze młodszemu paniczowi clerpkie słowo rzuci.

Jan Tarnowski. Jakże to, przecie Stanisław nic złego nie czyni?

Pacyfik. Wiem ja to dobrze, ale słyszałem sam, jak pan Biliński mówił: »Czyż to rzecz przyzwolta, żeby młodzieniec znakomitego rodu, prowadził życie ukryte? Powinieneś sobie to mieć za grzech — powiada — być nieposłusznym swemu starszemu bratu«. Ale nasz anioł, to żadną mową od swoich świętych uczynków odwleść się nie da — ani prośbą — ani groźbą...

Jan Tarnowski (*chodzi wzburzony po komnacie, Pacyfik poprawia na stole*). Co tu czynić?

Pacyfik. Zostańcie kasztelanicu na wleczery!

Jan Tarnowski. Ja? Przeciem nie dla zabawy do Wiednia zjechał — i jeszcze tu u Kimberkera.

Pacyfik (*podejmując go pod nogi*). Ostańcie — dla panicza Stanisława.

Jan Tarnowski (*kładąc rękę na ramieniu Pacyfika*). Rozumiem ja was dobrze, Pacyfiku, ale to nie zda się na wiele. Nie moja tu władza, nie moje ramię. Jeśli szlachetny kasztelan zakroczymski synów swolch razem wysłał, starszy wedle prawa nad młodszym rządzić ma, jedynie nauczyciel Biliński słowo rzec może. (*Zamyśla się, prawą rękę na głowni szabli opierając, lewą podpira brodę*).

Pacyfik. Ano — wola nieba, tak Bóg widać chce.

Scena X.

Jan Tarnowski, Pacyfik, Filip, Tymek.
(*Wchodzi z lewej chłopcy, niosąc kielichy, szklanki, talerze*).

Pacyfik. Poustawiać, poustawiać, bo późno.

Tymek (*skrada się do okna i odmykając je chyłkiem wygląda*). Idą goście, idą!

Filip (*chce wyrzucić oknem, prosząco*). Obaczę.

Tymek. Nic nie obaczysz. (*do Pacyfika*) Mogę gadać? (*Tarnowski siada na stołku na prozdzie sceny zamyślony*).

Pacyfik. Gadajże ty, gaduło! urwisle!

Tymek (*wciąż przy oknie, Filip pragnąc coś zobaczyć, szyję wyciąga i głowę wytyka raz*

z tej strony Tymka, raz z tamtej). Idzie pan Hans Kimberker, idzie pan Hugo von Schwarzenberg. Bogato przyodziani, bo widać jak błyszczą brylantowe i krwawe guzy, aksamity, jedwable, ho! ho!

Filip (*prosząco*). Pokaż, obaczę!

Tymek. Nie obaczysz! A teraz idzie, tego łatwo poznać, jak rozpowiada, jak o karabelę raz po raz stuknie to pan Zbigniew Jastrzęblec Karski — idzie tu, idzie!

Jan Tarnowski (*budząc się z zadumy*) Karski? Aha, to dobry chłopak, ale ogień! Szkoda, że i on w tej kompanji, bo głupstw narobić może.

Tymek (*posuwa Filipa w stronę okna*). Teraz sobie obacz! wróble na rynku.

Filip (*wygląda*). Niema!

Pacyfik (*do chłopców*). Do kuchni z wami (*wypędza ich kluczami na lewo, do Tarnowskiego, kłaniając się*). Sługa wasz, szlachetny panie z Tarnowa.

Jan Tarnowski. Przyjacieli, przyjaciel nie sługa, czuwajcie mi nad Stasem, Wawrzyńcze!

Pacyfik. Co w mojej mocy będzie, uczynię! (*klania się raz jeszcze i wychodzi na lewo, Tarnowski staje przy oknie we wnęce, zakładając ręce na piersiach*).

Scena XI.

Jan Tarnowski, Hugo von Schwarzenberg,
Zbigniew Karski, Paweł Kostka, Hans Kim-
berker.

(Hugo i Zbigniew wchodzą z prawej strony, rozmawiając ze sobą hałaśliwie, nie widzą Tarnowskiego).

H u g o *(ociężale zbliża się do stołu, uderza weń pięścią i mówi).* A ja powiadam, że wina dzban, a mięsłwa tłustego miska — to jest całe życie! *(rozsiada się szeroko za stołem na pierwszym stolku od lewej strony).*

K a r s k i. Et! Ja tam bitkę wolę; jak mi się karabela w ręku roztańczy *(macha karabelą)*, a tysiąc posypie się skier *(puszcza karabelę, wyciąga ręce)*, to życie, życie, życie *(macha ręką)*! wszystko jedno po co, na co, byle bić, a siarczyście! *(biega po izbie, spostrzega Tarnowskiego)* aa waćpan tu? *(witają się. Tymczasem weszli szepcząc do siebie Paweł i Hans, spostrzegają Tarnowskiego).*

H a n s *(do Pawła, pokazując Tarnowskiego)*
Patrz!

P a w e ł *(uradowany biegnie do Tarnowskiego, potrzęsa mu rękę).* Jak się masz? Dawno przyszedłeś? Zostaniesz z nami?

T a r n o w s k i. Przyszedłem odwiedzić Stanisława, lecz mówiono mi *(xatrzymuje się)*, że jest *(xatrzymuje się)* nam tu nieobecnym, prze-

bywa gdzie indziej (*ciszej*) duszą (*głośno*), wlec pożegniam was zaraz.

P a w e ł (*gniewnie*). Co? na wleczery nie zostaniesz?

H a n s (*zbliża się wolno i wita z iro-
nicznym uśmiechem*). Ha — nie łaskawiście na
nasz skromny dom — ryby w Gople sma-
czniejsze!

H u g o (*głośno, krzyczy*). Co tam ryby,
głupstwo ryby, to jeno w gębę kole, a w gar-
dle dęba stawa, daj psu rybę, nie weźmie —
(*uderza pięścią w stół*). Służba! mięsiwo przy-
nieść! bażanta pieczonego, to jest jedzenie i wina!
wina! wina!

K a r s k i (*przyskakuje do Tarnowskiego*). A mo-
że honorowi naszemu ubliżacie, może waćpanu
bitki się chce, ja gotów, ja na parol kawaler-
ski — ja (*uderza dłonią po karabeli, drugą po-
ciera głowę z tyłu*).

J a n T a r n o w s k i (*spokojnie, wciąż sto-
jąc we wnęce*). Panie Karski, krwi naszej pol-
skiej na zabawki i awantury zaprawdę szkoda,
schowaj waćpan szablę na większe potrzeby!

K a r s k i (*uspokojony nieco stoi na lewo
przy wnęce*). Niby co?

J a n T a r n o w s k i. Niech Rzeczypospo-
ltej służy, a nie prywacie!

H a n s (*do Pawła, stoją obaj za stołem na
prawo*). Zapał go napada kaznodziejski.

Karski (*rozklada ręce*). Prawda jest, ale to się nie da, jakem Karski. (*Hans rozmawia z Pawłem półgłosem, Hugo niecierpliwie stuka kubkiem*).

Jan Tarnowski. Żeby to waćpan raz po raz do ksiąg zajrzał, krewby się ostudziła gorąca, a pożytekby dla duszy był i dla umysłu.

Karski (*rozklada ręce*). Prawda jest, ale to się nie da, jakem Karski.

Hans (*do Zbigniewa*). Co te katoliki tak rozprawiają! Podobno jastrzęble mózg mają strasznie mały, rozum nie pomieści się wcale. (*Paweł i Hugo wybuchają śmiechem*).

Hugo. Jastrzębiec rozumu nie pomieści, ha, ha, ha, a to mu powiedziało!

Karski (*przypada do Hansa, wyciąga szablę i naciera*). Ty, Niemcze, ty będziesz mi lżył mój klejnot szlachecki?

Tarnowski (*rzuca się między nich, podbija rękę Karskiemu, a Hansa odpycha w przeciwną stronę, gdzie Paweł go sobą zasłania*). Dać waćpan spokój!

Karski (*jeszcze wściekły*). Co mam się lutrowi dać śmiać? Kpić sobie ze mnie... nie... dać go tu, bo inaczej rozsiekam wszystkich (*chce go dopaść za plecami Pawła*).

Paweł (*wyciąga do połowy szablę*). To ze mną chyba (*Hans cofa się za komin*).

Karski. Włec z Tobą Nacieraj! (*Wy-
ciągają obaj szable*).

Hugo (*popycha ku nim stół, tak, że mimo-
woli muszą zaprzestać, tracąc równowagę. Tar-
nowski staje między nimi*). Cicho — cicho szlach-
ta, rycerze (*krzyczą, klaszcząc w dłonie*). Służ-
ba! Wody na łeb lać!

Scena XII. Ciż i Tymek, Pacyfik, Filip.

(*Wpadają z lewej Tymek, Pacyfik, Filip, stają
w pierwszej chwili zastraszeni, potem Pacyfik
dopada Tarnowskiego, starając się bardziej roz-
grodzić tamtych*).

Tarnowski (*do Pawła, ostro*). Nie wstyd
ci gości tłuc, coś ich sam na ucztę prosił, scho-
waj szablę!

Paweł (*cofa się mimowoli, mówi nieśmiało*):
Ja nie ustąpię — ja chcę.

Pacyfik: Miłościwy paniczu, dajcie spokój!
(*Filip, który stał zagapiony przy drzwiach na
lewo z Tymkiem*).

Filip (*wskazuje na kotarę*): Słyszysz.

Tymek. Co to? (*krzyczą*): Panie!
(*Wszyscy oglądają się na niego, on wskazuje na drzwi*).

Karski (*jeszcze rozjątrzony*): Dajcie go
tu, rudego!

Tarnowski (*do niego, wskazując kotarę*).
Cicho!

(*Wszyscy milczą zapatrzeni w kotarę, tak jak stali*

Scena XIII. Ci sami i Głos za sceną.

Głos (*dxiecinny, czysty za sceną, bardzo wolno i z przejęciem*): Miłujcie nieprzyjaciół wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladowające i potwarzające was, abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebieszech, który czyni, że słońce Jego wschodzi na dobre i złe, i spuszcza deszcz na sprawiedliwe i niesprawiedliwe.

Karski (*półgłosem*). Nie mogę... jego słodki głos jeno posłyszeć, to serce w piersi taże, a karabela wysuwa się z ręki.

(*Paweł odwraca się gniewnie, potrąca Hansa i wychodzi na przód sceny, chowając szablę do pochwy*).

Scena XIV. Ci sami.

Paweł (*mrukliwie*): Wieczne te modły i modły, czysty komedjant, (*potem wskazując na Tarnowskiego*) obaj oni tacy! (*służba podnosi się i cofa ku drzwiom na lewo, gdzie staje Filip zagapiony, Tomek oparty o futrynę, Pacyfik z rękoma za pasem*).

Hans (*idzie do Pawła, klepiąc go po ramieniu*): No, ciesz się, masz braciszka jezultę.

Paweł (*gniewnie*): Nie pierwszy raz to słyszę (*grożąc pięścią w stronę kotary*), popamięta jeszcze, popamięta, wstyd tylko przynosi zacnemu rodowi Kostków, czysty mnich, ani do

karabeli, ani do dzbana, (coraz zjadlej) wstyd, wstyd, wstyd.

(Karski siada na stolku za stołem naprzeciw Hugona, ale bokiem do Tarnowskiego, który oparł się o okno, ręce na piersiach założył i duma. — Hugo rozejrzał się wokoło i usiadł, co chwila obraca się do służby, dając im znaki ręką, by półmiski wnieśli. Pacyfik odpowiada rozłożeniem rąk, Tymek miny stroi wskazując na Pawła. Filip oczy na Niemca wybałuszyl i wpół zgięty, palcami kolana objął).

Hans (ironicznie): No tak, a powładają, że to ty się go wstydzisz, boś grzesznik, a on to ma być widzisz dobry i cnotliwy.

Paweł (tupiąc nogą): Popamięta swoją dobroć i cnotliwość, ja się mam wstydzić? Wcale nie. (Z pychą, i podrzucając głowę). Jestem synem kasztelana zakroczymskiego, to nie będę żył, jak pustelnik albo żebrak, a jego też nauczę, nauczę (wskazuje Tarnowskiego) i temu pokażę, co umiem (rozmawiają dalej pocichu, szedłszy ku kominkowi).

Hugo (do Pawła): Jeść każ dać, pić! (przegrywa palcami po gardle). Sucho, ojoj, dychać nie mogę.

Paweł. Zaraz, zaraz panie von Schwarzenberg, tylko starzy przyjdą.

Hugo (do siebie): Co im tam po jedzeniu, ach Boże! (ziewa, kładzie łokcie na stół, głowę na ręce i śpi).

(*Paweł i Hans gwarzą dalej, Pacyfik z Tymkiem także, Filip przysłuchuje im się.*)

Tarnowski (*budząc się z zadumy*). Trzeba już iść!

Karski: Waćpan nie zostanie?

Tarnowski: Nie! nie przystoi mi tu pozostać, (*i po chwili serdecznie, przystępując do Zbigniewa i biorąc go za rękę*) i wy chodźcie! lepiej to będzie, wierzcie mi!

Karski: A gdzież ja pójde teraz?

Tarnowski: Ot! łatwa rada, pójďte do mnie. Miałem listy z domu, pogadamy o rzeczach publicznych.

Karski: Ja rad z wami, ja chętnie, jeno — że mnie krewkość zawsze poniesie.

Jan Tarnowski: Damy jakoś radę, a kto wie, czy niedługo nie przyjdzie nam stanąć ramię przy ramieniu w ojczystej potrzebie.

Karski (*xapalając się*): O! jabym szedł walić Turków, Tatarów.

Tymek (*wyrywając się*): I Żydów też!

Jan Tarnowski: Wstydz się, chłopcze, bezbronnych mordować! Inne są jeszcze walki, nie tylko orężem.

Pacyfik: Prawda, panie, prawda, cnota to też jest broń, a uczciwość, a mądrość, zaradność.

Filip: A proszę waszej mości, panie kasztelanu kujawski, co to jest za różnica między Turkiem, a Tatarem, albo Żydem?

Pacyfik: Daj panu spokój i tak nie zrozumiesz.

Filip: Przecie obaj czarni i krzyczą ałach — powladał tatulo, a Żydy...

Tymek. Ja ci powiem, poczekaj:

Dobry Turek — na podkurek,

Na śniadanie — Tatar stanie,

Ale żydowskiej cebuli

To starczy od żniw, aż do Trzech Króli!

Karski (*wybuchu śmiechem*): Ha, ha, ha, paradne!

Pacyfik (*wypędza ich*): Do kuchni z wami, urwisze! (*chłopcy cofają się w głąb drzwi, potem odchodzą; do Tarnowskiego smutnie*): Odchodźcie jednak, panie!

Scena XV. Ciż sami, prócz Tymka i Filipa.

Jan Tarnowski. Odchodzę, Wawrzyńcze. Widzicie, słyszałem znów, jak Paweł odgrażał się, że mi pokaże, że Stanisława przy uczcie posadzi. On wie, że my przyjaciele, więc do mnie złość ma i moja obecność tylko w nim nlechęć do Stanisława podnieca.

Pacyfik: Prawda jest, że mu wasza cnota solą w oku.

Karski: No to chodźmy, żeby mnie znów nie zaświerzbiała ręka do szabli, biłbym się, (*xmierzoją obaj ku drzwiom na prawo*), biłbym się...

Paweł (*zatrzymuje ich*): Dokąd?

Jan Tarnowski. Idźmy do domu, obaj, bo pora spóźniona. Pan Karski przykrości tu doznał, więc mu do ucztowania chęci nie staje.

Paweł (*porywczo*): To mój gość, odmawiać mi go nie wolno!

Jan Tarnowski: Nie uczciłeś go jako gościa.

Paweł (*półgłosem*): Kaznodzieja (*po chwili*), a ty czemu idziesz?

Jan Tarnowski. Nie godzi mi się jako uczniowi, przez rodziców wysłanemu na nauki, oddawać się ucztom, trwającym długo w noc, a jako prawowalnemu synowi Kościoła i Rzeczypospolitej polskiej nie przystoi mi przebywać w domu, gdzie ubliżają w mowach lekkich wlerze i obyczajom praocjów moich!

Hans. Opat jezuitów, katolicki kaznodzieja!

(*Kłania się wszystkim, to samo robi Karski*):

Jan Tarnowski. Żegnam waszmościów!

Karski. Czołem waćpanom!

Paweł (*chmurnie*): Czołem! (*kłaniają się*).

Zasłona spada.

Koniec aktu I.

Akt II.

Wszyscy biorą udział, prócz Tarnowskiego
i Karskiego.

(We wnęce siedzą z lewej senator Kimberker, z prawej Jan Biliński, grając w szachy spokojnie, ale ciągle, o ile nie rozmawiają lub nie piją. Przy stole na lewym końcu Schwarzenberg, na prawym Hans, obok niego za stołem Paweł. Filip stoi przy beczulce, trzymając za kurek, przez czas wieczery nalewając wino do dzbanów, z którymi przychodzi Pacyfik. Tymek od czasu do czasu bierze półmisek na dłoń i obnosi mięso gościom, przysuwa im sól lub chleb podaje; Pacyfik obchodzi z dzbanem i nalewa wino. Przy podniesieniu zastawy Pacyfik z dzbanem w ręku siedzi na skrzyni wprost, a Tymek, bokiem stojąc na przodzie sceny, przysłuchuje się. Paweł i Hans pomrukują, oparłszy głowy na dłoni).

Scena I. Jan Biliński, Kimberker, Schwarzenberg, Hans, Paweł, Pacyfik, Filip, Tymek.

Hugo von Schwarzenberg *(śpiewa bezdźwięcznie, ochryple, uderzając do taktu szklanką w stół):*

A kiedy się pora zdarza, pora zdarza,
I taka doba, I taka doba,

Pijmy zdrowie gospodarza,
Co się podoba,
Pijmy zdrowie gospodarza,
Co się podoba.

Przyszłych państwa młodych zdrowie,
Młodych zdrowie!
Wiwat żona, mąż!
I kochajmy się, panowie!
Kochajmy się wciąż!

Pijmy zdrowie gospodarza,
Gospodarza, choćby do rana,
Mości panie, hej! — Wojciechu,
W ręce Wasana!

H u g o, H a n s i P a w e ł (*razem*): Pijmy zdrowie gospodarza, co się podoba.

H u g o: A no tak, dobre wino ma pan senator, (*podnosząc kielich*) niech żyje, wiwat!

H u g o, H a n s i P a w e ł (*wstają, podnosząc szklanki*): Wiwat! Wiwat!

(*Senator wstaje, kłania się, Biliński stoi, potem siada*).

K i m b e r k e r (*siadając*): Dziękuje. Prawdziwa to radość dla mnie, iż tak zaczęli kawalerowie gościć tu raczą.

P a w e ł (*ochoczo*): Wasza Miłość! Dobrze nam tu, oby wszędzie tak było! (*senator kłania się głową, rozmawia z Bilińskim, młodzieź wychyla szklanki, Pacyfik nalewa*).

H a n s: No, no, śladajmy, już dosyć kome-dyj ze starymi!

H u g o (*siadają wszyscy*): Śladajmy!

(Tymek przynosi kielich na tacy senatorowi i Bilińskiemu, Pacyfik nalewa i podaje im).

Kimberker (do Bilińskiego): Zdrowle wasze, magistrze!

Biliński: Zdrowle senatora! (wychylając i odstawiając kielichy na tackę, z którą Tymek odchodzi drzwiami na lewo).

Scena II. Ciż, prócz Tymka.

Kimberker (przez ten czas Hans szepce z Pawłem, a Hugo nabiera z półmiska, kraje chleb i je): Płęknie to i młó gospodarzowi, kiedy zabawiają się jego goście, nie wiem tylko, czemu młodszy kasztelanic taki dumny i na uboczu przebywa, gardzi stołem naszym, stroni od syna mego, odstręcza przyjaciół.

Biliński (z zakłopotaniem skubiąc brodę). Nie rozumiem, doprawdy.

Kimberker: Żle go chowacie, źle nim kierujecie, chyba, że chcecie mieć katolickiego świętoszka, ale zaprawdę nie przystoi to zacnemu rodowi, syna do różańca jeno kształcić, wierzcie mi.

Biliński. Toć ja przekładam, ja sam wzbraniam. Jestem wprowadzie za bogobojuścią w wychowaniu, ale racja, że przesada...

Kimberker: Przesada? więcej niż przesada ta wasza religja, przejdźcie na naszą wiarę,

a wygodniej wam będzie i lepiej, największy mędrzec to Luter. (*Tymek wraca.*)

Scena III. Cłż i Tymek.

Hugo: A co tam z Lutrem? Niech żyje!
(*uderza szklanką w stół i zaczyna znów nucić*):

»Pijmy zdrowie gospodarza... Co się podob*a i t. d.*«.

Kimberker: Wierście mł, z tego Stanisława to poclechy żadnej nie będzie, (*Biliński kiwa głową, rozkłada ręce*) no, ale grajmy dalej! (*grają*).

(*Paweł i Hans idą na przód sceny*).

Paweł (*ruszając żywo rękoma*): Ale co ja mam robić, przecież nie będę go wciąż tłukł.

Hans: Ii — jakiś ty dziwny, rób co chcesz. Mnie tylko bawi ta twoja władza starszego brata, taka malowana władza.

Paweł: Nie drażnij mnie (*chodzi wzburzony*).

Hans (*siada, zakładając nogę na nogę i ręce na piersiach*): Jakiś ty śmieszny!

Paweł (*przyskakuje do niego*).

Hans (*nie ruszając się*): Daj spokój, nie mł i tak zrobić nie możesz, (*Paweł spuszcza głowę i chodzi znów*). Wy, Polacy, jesteście bardzo zabawni!

Hugo (*wesoło*): Polak, Polak to są dobrzy ludzie, ja lubię z nimi pić! Służba! (*nalewają mu*) (*półgłosem*): Pijmy zdrowie gospodarza.

Hans: Bo ty przecież nie głupi, ty umiesz i wystąpić po pańsku i pobawić się, no, ale z tym Stanisławem...

Biliński (*prosząco*): Panie Hans, niech pan już nie wspomina.

Kimberker: Mój syn jest gościnnym!

Hugo (*donosnie*): Tak! prawda jest, pan senator Kimberker i syn jego Johannes rudo- włosy są gościnni ludzie, sprawiedliwi ludzie, wino dobre, pieczeń dobra, stół dobry, wszystko dobre i doskonale, wyśmienite!

Biliński (*wstaje, zbliża się do stołu*): Tak, tak, Pawle! usłódźcie przecie, bawcie się!

Paweł (*opryskliwie*): Niech mi pan da spokój.

Kimberker (*siedzi, gładzi brodę*): Ho, ho, pan kasztelanie czegoś nie w humorze.

Hugo: Za mało pił.

Biliński: Raczej za wiele.

Hans: Słyszysz, idź lepiej spać, a nie zapomnij pacierza.

Hugo (*wybuchając śmiechem*): Ha, ha, ha, pomódl się za mnie!

Paweł: Dajcie mi spokój (*wychyla szklankę wina*): Tymek, wina mi nalej, a prędko mazgaju (*popycha go*).

Kimberker (*powstając*): No, czas na mnie, nie chcę młodym przeszkadzać. Żegnam was, kawalerowie, i pana, panie magistrze. (*Biliński*

przybiega i z uniżonością podaje rękę senatorowi)
miej zabawy do rana, a Hans bądź gościnnym!

H u g o : Dobrej nocy, panie senatorze! (*Młodzię kłania się, służba zgina wpół, Tymek i Filip otwierają i zamykają drzwi. — Kimberker wychodzi na lewo*).

Scena IV. Ci sami, prócz Kimberkera.

B i l i Ń s k i : Śladajmy panowie! (*siadają wszyscy*).

H u g o (*do Bilińskiego*): Tu przy mnie!... (*Biliński siada*) Służba! Wina panu Bilińskiemu, mięsa, chleba! Szachów to on się nie najadł, przegrywając do starego, co? (*trąca go poufale*) ani tej brody długiej, chociaż ją skubie i skubie (*gładzi go po brodzie*). (*Służba krząta się, podaje, nalewa*).

B i l i Ń s k i . Dzięki za troskliwość, dzięki! (*nabiera, pije, je*).

H a n s : Utuczył chudego gruby, odstąpi mu co!

H u g o : Chyba ty twego rozumu!

H a n s : Et to już szkoda!

B i l i Ń s k i : Ależ panowie!

P a c y f i k : Nauczycielowi należy się szacunek...

H a n s : A ten skąd z morałami?

P a w e ł : Nie mieszajcie się, Pacyfiku, do nas!...

H u g o (*podnosi rękę w górę*) Cicho, spokój!
Tylko bez swarów, ja kocham pana Bilińskiego
i szanuję jego mądrość (*uderzając się w piersi*),
bo sam jestem głupi!

H a n s: Racja!

Biliński: Ależ panowie, panie Hugo...

Paweł: Pacyfik! wina mi nalej! (*nalewa
mu*).

H u g o: Niech żyje nasz magister! (*wychyla
szklankę*). Służba! (*nalewając mu*).

Biliński: Dziękuję, dziękuję!

H a n s: No, Pawle, a co będzie z naszym
zakładem, co?

H u g o: Jaki zakład? Słuchajcie!

Biliński: Dajcie spokój, napewno znów
coś zdrożnego.

H a n s (*drwiąc*): Ach, to nic, to drobno-
stka, co Pawle?

P a w e ł: Tak będzie, jak powiedziałem i ja
wygram!

H a n s: Ciekawy jestem, jak to zrobisz?

H u g o (*tupiąc nogą*): Mówcież, o co cho-
dzi!

H a n s: O co chodzi, hm! To chodzi wi-
dzisz o to, że Paweł chce pokazać siłę swojej
woli.

Biliński: Albo swego uporu, bo uparci
to są obaj, jeden na tę stronę, drugi na tę
stronę.

Hans: Słyszysz! pan magister też sądzi, że nie dasz rady.

Hugo (*tupiąc nogami i bijąc w stół*): Do tysiąca beczek kwaśnego wina, gadajcież wreszcie, o co wam chodzi, Hans, Paweł, panie Billiński.

Billiński: Ja nie wiem, sam nie rozumiem.

Hans: No, dalej Pawle, wyznaj, o co chodzi jak na waszej spowiedzi, a ja cię rozgrzeszę.

Hugo (*wybuchając śmiechem*): Ha, ha, ha, Spowiadaj się, dalej!

Paweł (*z wybuchem*): Drażnicie mnie, jak psy wilka, aż wam kły pokażę, aż wam... (*zaciśnięte pięście, potem*) o co chodzi, o co zakład, pytacie? (*wstając i grożąc w stronę kotary na lewo*). Ja tego mnicha, tego jezuitę Stanisława zmuszę, że z nami do stołu usiadzie (*unosząc się coraz bardziej*), za włosy przywlokę tu, zabiję!

Billiński (*wstając*): Pawle, opamiętaj się!

Hugo: Wodę na niego!

Hans (*siedząc spokojnie*): A ja stawiałem zakład, że nie przyjdzie.

Paweł (*wyrywając się ku drzwiom*): Musi!

Pacyfik (*zachodząc mu drogę*): Panicz śpi już pewnie, to młodzłutkie jeszcze, słabe, gdzie jemu tam po nocy ucztować.

Paweł (*do Pacyfika*): Precz! choć z pościeli a wywlokę.

Biliński (*prosząco stoi przy nim, Hugo i Hans siedzą*). Ależ Pawle!

Hugo (*wesoło*): Głupstwo tam, zostaw go, niech śpi i tak poclechy nie będziemy mieli, chodź, zagramy w kości. Służba! (*Tymek daje znak Filipowi, który wychodzi na lewo.*)

Biliński: Chodź Pawle, zagramy wszyscy!

Hans: Chodź, chodź, odegrasz zakład!

Paweł (*wraca, siada zamyśla się, półgłosem*): On musi przyjść!
(*Filip wraca, stawia drewniany kubek z kostkami na stół*).

Hugo: Służba! uprzątnąć talerze, tylko wino ostawcie (*sprzątają i wynoszą na lewo*).

Biliński: Grajmy!

Paweł: Ja nie będę grał.

Hans: Boi się, żeby reszty nie stracił!

Hugo: Dalej, panie magistrze, zaczynamy! (*grają*).

Paweł (*wstaje, chodzi po izbie, Hans przygląda mu się*). Pacyfik!

Pacyfik (*staje przed nim*): Słucham was, paniczu.

Paweł (*zduszonym głosem z powstrzymaną złością*): Idź! powiedz mu, że przyjść musi, że w tej chwili tu przyjdzie (*głośniejsze*), ja mu roz-

kazuję! Rozumiesz? (*Pacyfik kłania się i odchodzi na prawo za kotarę*). Zobaczymy!

Scena V. Cłż, prócz Pacyfika.

(*Chwila milczenia, Hugo i Biliński grają, Biliński ogląda się raz po raz za siebie, Hans z założonemi rękami uśmiecha się drwiąco, chłopcy wpatrzeni w drzewi, a Paweł niecierpliwie chodzi tam i zpowrotem.*)

(*Pacyfik po dłuższej chwili wraca.*)

Scena VI. Cłż sami i Pacyfik.

W s z y s c y (*prócz Pawła*): I co, przyjdzie?

P a c y f i k (*potrzęsa głową*).

H a n s: Ha, ha, ha, nie skończył antyfony.

H u g o (*wybuchu śmiechem*): Ha, ha, ha, nie skończył.

P a w e ł (*gniewnie*): Gadajże, cóż?

P a c y f i k: A no, panicz Stanisław nie śpi jeszcze, tylko się modli nieboże, nie chciałem mu przeszkadzać, ale wreszcie mówię: »Panliczu, paniczu Stasiu, chodźcie trochę odpocząć po modlitwie, chodźcie trochę pobawić się, brat was woła«, ale on uśmiechnął się jeno do mnie, a potem wskazał na krzyż i rękę podniósł z książeczką na znak, żeby mu nie przeszkadzać.

P a w e ł: Mazgajstwo! Ja kazałem mu przyjść, nie rozumiałeś tego?

Pacyfik (*spuszcza głowę, potem*): To się nie godzi kasztelanicu — to obraza boska!

Paweł (*przez zęby*): Milcz! nie potrzebuje nauk.

Pacyfik: Ha no — widać inne to czasy. Stary kasztelan zawsze do słowa mnie dopuścił, a nigdy źle nie radziłem.

Hans (*do Pawła*): Dwóch masz nauczycieli, jak widzę.

Hugo (*rubasznie*): To poczciwy chłop ten stary, dajcie mu wina (*Pacyfik wżrusza ramionami, pociąga wąsy i z gniewem wychodzi na lewo*).

Biliński (*łagodnie*): On was na rękę nosił, Pawle! (*Paweł stoi chwilę zamyślony, potem staje przed Bilińskim*).

Paweł (*zduszonym głosem*): Panie magistrze! Wstrzymaliście mnie raz, drugim razem wam nie uda się — ja jestem zły, ja czekam jeszcze, czekam, ale...

Biliński (*wystraszony*): Co wam z tego? co wam po tem?

Paweł: Powiedziałem, że musiał przyjść, po dobrej woli albo przemocą, powiedziałem!

Biliński (*wstając*): Sproбую, może go namówię! (*wychodzi na prawo za kotarę*).

Scena VII. Ciż, prócz Bilińskiego.

Paweł: On zmienić się musi, on nie będzie zakonnikiem, ja nauczę go tak żyć, jak ja żyję.

Hans: Nie nauczysz, a szkoda, bo to śliczny chłopiec, mógłby się zabawić — hi, hi.

Hugo: Co tam? — Paweł napij się leplej i zagramy!

Paweł: Tymek! wina! (*Tymek nalewa mu, grają przez chwilę*)

Hans: Jakoś nie widać magistra.

Paweł (*pijąc spokojniejszy*): Ha! umawia się z nim! Powiedziałam wam, że to okropne. Jeszcze przytem za moją słuszną rację Pacyfik pomrukuje o grzechach, o tem, że ja zły, a tamten dobry, te głupie chłopaki (*pokazuje służbę*) nawet patrzą na mnie z podełba, a Biliński też wstawia się za Stanisławem.

Hugo: Co ci tam? Byleś sam miał co pić i jeść.

Hans: Ale widzisz jego sumienie gryzie.

Paweł (*porywczo*). Nieprawda! (*wraca Biliński, skubiąc brodę*).

Scena VIII. Ci sami i Biliński.

Biliński: Niestety, nie zdołałem go nakłonić. Tłumaczyłem mu, że wola brata jest świętą, odrzekł mi, że owszem, ale tylko w rzeczach godziwych. Mówiłem, że powinien żyć towarzysko, odparł mi znów, że on dla świata nie stworzony, ani świat dla niego, że jemu rodzice, błogosławiąc na drogę do nauk przy-

kładać się kazali, a nie do zabawy. Stanowczo odmówił przyjsła.

Paweł (*wstając z xaciętością*): Ha! to ja się z nim rozmówię po swojemu.

Tymek (*półgłosem do Filipa*): Idź po Pacyfika, prędko idź. (*Filip wybiega na lewo*).

Billński: Nie zmienicie go, a tylko skatujecie znów.

Paweł: Ja go nauczę! (*ogląda się po izbie, potem macha ręką*) nie potrzeba niczego.

Hugo: Zostań Pawle, to głupstwo!

Hans (*drwiąco*): Nie przeszkadzaj, bratsek się modli! (*Pacyfik wbiega z lewej*).

Pacyfik: Panie kasztelanicu (*zagradza mu drogę*).

Paweł (*odtrąca go*): Precz stary!

Pacyfik: Panie kasztel...

(*Tymek i Filip chcą też zagrodzić wejście.*)

Paweł (*podniecony krzyczy*): Precz zataceńcy, precz, bo lby porozwalam! (*domawiając tego znika za kotarą*).

Scena IX. Ciż, prócz Pawła.

Filip (*zakłamując ręce*): Rany boskie!

Tymek (*zakrywa twarz*): Jezu! (*oba stoją przy skrzyni, Pacyfik siedzi na niej skulony, patrzy tępo przed siebie*).

Hugo (*gniewnie*): Nie lubię takich awantur, a ty (*do Hansa*) to go podniecasz i podmawiasz.

Hans: Ja? A co mnie do tych polskich kasztelanów, co mnie do nich?

(Biliński biega po izbie, machając rękoma, skubie brodę.)

Biliński (zaniepokojony): A mówiłem mu, przyjdź po dobrej woli, teraz co, uparł się — teraz co, a mówiłem, a mówiłem, a mówiłem.

Hans (spokojnie): Nic mu nie będzie, nauczy się rozumu.

Pacyfik (z oburzeniem): Wy się Boga nie boicie, panie! Ot co jest wprowadzać się w dom heretycki.

Tymek: Luterski!

Hans (dumnie): Przymówki mnie? Panu? Synowi senatora?

Hugo: Nie gadaj ze służbą! (do Pacyfika) Milezcie psy, nie wasza rzecz panów sądzić.

Hans: Polskie nasienie (spluwa) tfa

Pacyfik (półgłosem): Bóg was pokarze.

Biliński: Ja tam pójde, ja mam odpowiedzialność przed rodzicami, co robić, co robić?

Hugo (do wszystkich): Cicho no!

Hans (skradając się do kotary podśluchuje). O! słysząc jak błę, jak klnie, a to się rozszerzył ha, ha.

Pacyfik, Tymek i Filip (zrywają się ku kotarze): Jezu! Matko Najświętsza!

Filip: Rany boskle!

Tymek: Zabije go!

Hugo (do Hansa ze złością): Po co te awantury? Tylko smak wina mi psuje i wierz.

Hans: Idź go bronić.

Hugo: Jeszcze czego!

Filip (płaczliwie): Zabije go.

Tymek (nasłuchując): Słuchać jak jęczy!

Biliński (chodząc nerwowo): Ja mam odpowiedzialność, co tu robić, Boże, Boże co tu robić?

Hans (siadając obok Hugona za stołem drwiąc): Hm! jak macie odpowiedzialność, panie magistrze, to idźcie go bronić, spróbujcie się z Pawłem, słusznie, słusznie.

Biliński (niepewnie z lękiem): Tak, ja pójdę, ja tam muszę iść... ja...

Tymek (wyrывая się): Ja pójdę!

Filip: Ja też!

Tymek i Filip (chcąc biegnąc): Nie damy panicza!

(Pacyfik łagodnie xatrxymując ich): Cicho chłopcy, nie wasza rzecz.

Hans (drwiąc): Panie Biliński, słyszycie? Ładne to w Polsce porządki, że chłopcy i pany równi sobie, (śmiejąc się) ha, ha, ha w kumoterstwie żyją, biorą się za bary (do służby). Tak tak, chłopcy, idźcie się bić z paniczem!

H u g o: Nie gadał z chamstwem, już się po polsku nauczył?

H a n s: U nas Niemców — to chłopcy są na to, żeby dziesięć dni płacić, pańszczyznę odrabiać, zbierać po lasach kosze pozłomek na pański stół i muszle ślimacze dla nawijania nici dla naszych niewiast, a jak krnąbrni to wybiję się ich, wytłuczę, w więzieniach niech gniją.

H u g o: Prawda jest i tak być musi!

P a c y f i k (*stojąc naprzeciw nich, gniewnie podnosząc dłoń*): Panowie! a ja stary sługa w oczach waszych głupi i marny, wam powiadam, że źle się bawicie! Wy, panowie Niemcy, odpowiecie za krzywdę mego panicza, wy na źle wodzicie pana Pawła, wy... Nasz kasztelan jest możny w Rzeczypospolitej, on was... (*do Bilińskiego*), a wy panie nauczycielu nie macie sumienia!

H a n s: (*cofa się przestraszony, rzucając przez zęby*): Ples — zmija!

H u g o (*rzuca się w stronę Pacyfika*): Co ty — mnie ty?

Scena X.

(*W tej chwili rozsuwa się kotara i wpada Paweł wściekły, dysząc, wszyscy rozstępują się pod ścianą, on sam stoi przed kotarą*):

P a w e ł (*dysząc*): Ha, popamięta! Krwłą się zalał, beczał! (*grożąc za siebie*) nie przyszedł,

nie, ale się przez trzy dni nie ruszy ten... (do wszystkich) co tak stoicie osowiali? Co? (podniesionym ostrym głosem). Wymówki? Katowanie? (bijąc się pięścią w piersi). Ja mam prawo! Ja mam moc nad tym smarkaczem! Ja tak chcę i tak być musi! On ma żyć, ma płć, on ma bawić się tak jak ja, nie kłuć mnie wiecznle w oczy swoją świętością! (uderza szablą w podłogę) moja wola będzie, nie jego!

Akt III.

Wszyscy biorą udział.

(Świece zapalone w świeczniku; za oknem ciemno).

(Przy podniesieniu kurtyny Kimberker siedzi we wnęce, na lewym krześle rozpostarty gładząc brodę; Hans stoi na prawo, prawa noga na stopniu wnęki, prawem ramieniem o ścianę oparty, z założonemi na piersiach rękoma.)

Scena I. Kimberker i Hans.

Kimberker *(wolno, obojętnie)*: No i Stanisława dotąd niema.

Hans *(ze śmiechem)*: Uciekł! Najprawdopodobniej do domu.

Kimberker *(kiwając głową)*: Bardzo możliwe, bardzo możliwe.

Hans *(drwiąco)*: Ten śwłętoszek jednak pokazał co umie.

Kimberker *(z ożywieniem)*: Tak! podobno wczoraj już odgrażał się Pawłowi, odejdzie.

Hans *(ze śmiechem)*: Ma ojciec słuszość no, a Paweł w strachu.

Kimberker: Nie dziwię się, zawsze ma odpowiedzialność za młodszego brata! Słuchaj! a Billński co?

Hans (*ze śmiechem*): Ten? Trzęsie się jak galareta!

Kimberker (*z troską*): Hm! wiesz Hans, co ci powiem, że mnie ta sprawa także przyjemną nie jest.

Hans (*z zadziwieniem*): Ojcu? A to czemu?... Ja, bo założyłem się, że na ucztę nie przyjdzie i nie przyszedł!

Kimberker (*frasobliwie*): Et, co tam uczta, sam musisz odczuwać, jeśli Stanisław szczęśliwie do domu dobieje, będzie skarżył nie tylko na brata, ale i na nas, na ciebie, na mnie, przecież to łatwo zrozumiałe!

Hans (*podrzucając głowę*): Ja się tem tak nie trapię, a zresztą powiedzieć można zawsze, że Stanisław był nieposłuszny, że od ludzi stronił i że, (*postępując do ojca z nagłą radością*) że jezuici namawiali go do tego (*macha ręką*), zwać winę na zakon.

Kimberker (*chwytając dłońmi poręcze i podnosząc się wpół*): Prawda! Jezuici! (*siada spokojny*): Mądry jesteś synku, mądry, wiesz co? Należałoby nawet list do kasztelana zakroczymskiego napisać i rzecz przedstawić mu z tej strony.

Hans (*staje w pierwotnej postawie*): Tak, owszem i to zaraz.

Kimberker (*kiwając głową w zadumie, wstaje*): Zwalić winę na jezuitów, zwalić! (*zmięra ku drzwiom, odwraca się*): No, a najlepiej byłoby go odnaleźć, będę robił poszukiwanie na własną rękę!

(Z prawej strony wchodzi Hugo głośno).

Scena II. Ciż i Hugo.

Hugo (*wesoło*): Witam was, dostojny senatorze! (*zbliża się do wnęki i skłania się głęboko*) jak się masz Hans? (*uderza go po łopatce*).

Kimberker (*kiwając przyjaźnie głową*): Witajcie, panie von Schwarzenberg i żegnajcie zarazem, gdyż czas mój nagli!

(Wychodzi na lewo).

Hans (*otrząsając się gniewnie*): Miewam się dobrze, ale mógłbyś swoje czułości ograniczyć nieco.

Hugo (*wesoło*): Nie szkodzi, nie jesteś z marmelady, nie rozsmarujesz się na ścianie!

Hans (*gniewnie*): Tfu! z twoją rubasznością...

Hugo (*siadając przy stole z lewej*): Nie gniewaj się i pozwól, że usładę, bo to nie trzeba nigdy trudzić się na próżno! Otóż słyszałem, że Stanisław zaginął, że podobno tej nocy, co

go to Paweł tak zblił, że aż zemdlał chłopak, tejże nocy uciekł, czy to prawda?

Hans (*wesoło*): Prawda i znaleźć nie można!

Hugo: Może go jezuici schowali?

Hans: Bardzo możliwe, ale pewnem nie jest, mógł tak samo zmówić się z jakim polskim panem i z nim razem do Rostkowa pojechać. Ojciec boi się, żeby kasztelan nie przyjechał tu do Wlednia i nas wszystkich nie poślekał.

Hugo (*xamyślony, kiwając głową*): Aha! rozumiem, mogłyby wyniknąć stąd jakie awantury.

Hans: Ojcu o to chodzi, żebyś z nami trzymał i świadczył w razie czego.

Hugo (*uderzając pięścią w kolano*): Dobrze, naturalnie, ja się katolików nie boję!

Hans (*x niesmakiem*): Ty lubisz burdy!

Hugo: Ja lubię wino i przyznam, że już zawsze krzywo patrzyłem na znęcanie się Pawła nad Stanisławem — smak psuje przy jedzeniu.

Hans (*kpiąco*): Patrzcie go! A może przejdiesz na ich wiarę? Może przywdziejesz sutannę?

Hugo (*śmiejąc się głośno*): Ha, ha, ha, ależ pękłaby na mnie.

Hans: I pijacka persona wylazłaby na wierzch.

(Słychać gwar za sceną.)

Hugo: A tam co znowu?

Scena III. Hugo, Hans i Służba.

(Wchodzą z prawej Pacyfik, Tymek i Filip).

Filip (*popłakując*): O mój Boże, mój Boże, że też to panicz zaginał, że też go nlema, że też pan Paweł tak go błł i namawiał do złego, napewno go tam gdzie zbóje napadły... Ojoj!

Tymek (*żałośnie*): Co też jaśnie wielmożny pan kasztelan na to powie, pewno nas wszystkich powyganla ze służby...

Filip: Ojoj!...

Pacyfik (*łagodnie*): Cicho no, chłopcy... nle widziacie to, że panowie Niemcy z was się śmieją, chowajcie łzy przed nimi.

Tymek (*półgłosem*): Plęści na nich lepsze. (*Pociąga Filipa, cofają się obaj na prawo i stoją przy drzwiach*).

Pacyfik (*klania się zlekka Hansowi*): Dostojny panie...

Hans (*pysxnie*): O co mnie chcesz prosić stary sługo?

Pacyfik: O nle was nie proszę, ani waszym sługą nle jestem, pytam jeno, czy mamy wrota otworzyć od ulicy, bo pan Jan z Tarnowa, kasztelanic kujawski stukał, widząc światło w oknach i pragnie wejść.

Hans (*kpiąco, wjmując się pod boki*): A co mnie wasi polscy kasztelanice obchodzą?

Pacyfik (*spokojnie kłaniając się*): Jesteście gospodarzem tego domu, pod nieobecność waszego ojca, pana senatora.

Hugo (*trącając Hansa*): Każ im otworzyć, nie róbże tyle historyj.

Hans (*do Hugona*): Napewno przychodzi z głuplemi morałami. — (*do Pacyfika, wskazując mu ręką drzwi*) Otworzyć!

(Chłopcy wybiegają na prawo. — Pacyfik wychodzi wolno za nimi.)

Scena IV. Hugo i Hans.

Hugo: Pewno z Karskim przychodzi...

Hans: Pewno! Ci się teraz pokochali, jak rodzeństwo bracia na złość Pawłowi.

Hugo: Podobno Karski już ani nie pije ani nie bije.

Hans: Tak, pod wpływem Tarnowskiego, a właściwiej Stanisława, bo to przyjaciel.

Hugo: Ha, ha, ha... to braciшек przyjemny.

Hans: O to też Paweł taki wściekły, że mu Stanisław psuje zabawę i sam nie przychodzi i kompanję odmawia.

Hugo: Ha, ha, ha, to dobre!

(Wchodzą z prawej Tarnowski i Karski, za nimi służba.)

Scena V. Ciż sami, Tarnowski i Karski.

Jan Tarnowski (*kłaniając się wszystkim*): Dobry wieczór waszmościom!

Zbigniew Karski: Dobry wieczór wac-
panom!

Wszyscy: Czołem! Czołem! Czołem! (*wi-
tają się*).

Hans (*drwiąco*): Witamy z radością!

Tymek (*do Tarnowskiego*): Nie słyszeliście
czego, nie wiecie czego, panie?

Karski (*ponuro*): Już wiedzą, gdzie jest,
znajdą go!

Hans (*z radością*): A — ciekawe!

Pacyfik (*do siebie*): Pan Bóg go może
już zabrał od tej życiowej nędzy!

(Chłopcy stoją na prawo przy drzwiach, Pacyfik oparty
o kominek, Hugo na skrzyni pod lewą ścianą, Tarnowski
i Karski siadają przy stole z prawej, Hans stoi wprost
koło skrzyni).

Filip (*wyskakując naprzód*): Jezu! gdzie
jest? gdzie jest?

Tymek (*zuchowato*): A mówiłem, że nie
uciekł, miał odświętne szaty, gdy rankiem od-
chodził.

Filip (*z płaczem*): Ja nie wdziałem, bom
spiał. (*Tymek trąca go, żeby był cicho*).

Pacyfik: Mówił, że go proszono na obiad.

Tarnowski: Nie, nie, on na obiady
proszone nigdy nie chodził (*pokazując list*), ten
list co innego świadczy.

Hans (*wyciąga rękę po list*): Co jest w tym
liście?

W s z y s c y: Jaki list, czyj list?

T a r n o w s k i. Stanisława! (*rozklada list, staje za stołem przy nim, na prawo skupiają się Pacyfik i Karski, zaglądając w list, chłopcy służbowi przy drzwiach zastłuchani, reszta jak przedtem, cxyta*) oto co pisze: »W potajemnem oddaleniu się mojem od was nie upatrujcie żadnego innego powodu, prócz gorącego pragnienia opuszczenia śwłata i pójscia za głosem Bożym, nawołującym mnie do Towarzystwa Jezusowego! (*opuszcza ręce z listem, wszyscy stoją długą chwilę zafrasowani milcząc*).

H a n s. Więc jest u jezuitów!

T a r n o w s k i. Tak, ale nie tu!

P a c y f i k (*gorąco*). Panie kasztelanicu kujawski, mówcie, objaśnijcie co i jak, ogłaszajcie, cò wiecie, prosimy was!

T y m e k i F i l i p (*klaniając się*). Prosimy, rozpowiadajcie!

H u g o. Nu — ja też ciekawy!

T a r n o w s k i. Zdaje się, że sprawa cała przedstawia się teraz dość jasno. Otóż Paweł znalazł w pokoju Stanisława list, który zabrał ze sobą, szukając brata tu w Wiedniu, w klasztorze — dopiero, gdy dowiedział się, że go tu niema, przeczytał raz jeszcze pismo, najął konie i powóz i popędził gościńcem w stronę Augsburga, sądząc, że Stanisław wybrał się tamże do nowicjatu. —

Hans. Widzeliście się z Pawłem?

Karski. Biliński mówił! — (*Chwila milczenia*).

Jan Tarnowski. Tak! Opatrzność Boska nad nim, widocznie robił wszystko z rozmysłem.

Hugo. Ha, ha, ha, za to mu Paweł też z rozmysłem odpłaci!

Hans. I spokojnie Stanisław, jużbym się potem nie zakładał o niego, ha, ha!

Karski (*wstaje, chodxi po izbie i macha rękoma*). Śmiejcie się, a jak go nie dogonią? Już dawno musiał uciec, bo powlądał nam właśnie Ilko, Węgier, jego serdeczny druh, jako mu prawił dni kilka temu, że przyjaźń ich skończy się niezadługo, widocznie rozmyślał o ucieczce.

Tymek. Dawno poszedł, nie dogonią!

Hans. Głupstwo! za słaby, daleko nie zajdzie.

Hugo. Zapewne.

Pacyfik (*ocierając rękawem oczy*). Biedne dziecko — niech go tam Matka Częstochowska broni! (*Chwila milczenia*).

Hugo (*przeciągając się*). Wlecie, mnie to wszystko razem nudzi. —

Hans. Ciele wszystko nudzi. Wino ci głowę zalało i rozum wypłynął przez dziurki od nosa!

Karski (*wybuchą śmiechem*). Przedni dowcip.

Tarnowski (*wstając*). Teraz — nie pora na dowcipy!

Hugo (*ze złością*). No więc pijmy albo jedźmy do stu tysięcy! Przecie nie będę z wami płakał!

Hans. No to chodź ze mną — (*klania się Tarnowskiemu*). Żegnam was panowie — wróćmy niebawem (*idą na lewo, odwraca się w drzewiach, drwiąco*), a nie zapomnijcie odmówić różańca!

Hugo (*z głośnym śmiechem*). Ha! Pan Zbigniew kompanję zmienił, dawniej do wina i szabli, dziś? (*składa ręce*) paclorki...

Karski (*gwałtownie*). Nieprawda! Ja wcale nie.

Tarnowski (*spokojnie*). Nic to złego pa-cierze, lepsze od próżnego gadania.

Hans (*dumnie*). Nic to złego, gadanie, byle do rzeczy było!

Tarnowski. I byle bliźnich do złego nie wiodło.

Hans (*kpiąco*). O ja z szacunkiem, pan kasztelanie kujawski zbiera owieczki zaginione w Izraelu, ot, (*pokazując*) pana Karskiego zwerbował!

Hugo. Owce? A ja myślałem, że to jastrząb (*śmieje się*) ha, ha, ha!

Karski (*wyciąga karabelę*). Panowie!
Tarnowski (*odciąga Karckiego*). Daj
spokój.

Hugo (*pociąga Hansa*). Chodźmy (*Hugo
i Hans wychodzą*).

Scena VI. Pacyfik, Tymek, Filip, Tarnowski
i Karski.

Pacyfik (*gniewnie*). Obraza Boska, skaranie z tymi zbereźnikami, heretycki naród!

Filip (*wychodząc na przód sceny*). A czemu oni tak się śmiali głośno?

Tymek. Z ciebie!

Pacyfik (*chodząc tam i z powrotem*). Tych Niemców to powinien Pan Bóg skarać, bo to przykazania żadnego nie zachowuje, jeno to płcie, a jedzenie im nabożeństwo! (*Słychać dzwon za sceną*).

Tarnowski. Dzwonią na Jutrznię — pomódlmy się razem!

Karski. Dobrze.

Pacyfik (*stając na przedzie, przed stołem*). O tak, odśpiewajmy Godzinki na cześć Najświętszej Panny, żeby nam panicza Stanisława obroniła — dalej chłopcy poklekać.

Tymek (*chłopcy klękają na prawo — do Filipa*). Ale ty nie będziesz śpiewał, słyszysz!

Filip. A czemu, przecie kazali!

T y m e k (*półgłosem*). Ehe! Takle twoje śpiewanie, jak młodego koguta, co nie wyple-
rzył się jeszcze całkowicie!

F i l i p (*półgłosem*). A właśnie, że będę.

T y m e k (*zatyka mu usta*). Nie będziesz, bo w niebie wszyscy aniołowie głuchną, a Naj-
świętszej Pannie to polskie Godzinki zupełnie
się uprzykrzą!

P a c y f i k (*grożąc chłopcom*). Cicho tam —
ręce złożyć, uważać, a niech mi który fałszywą
nutę wyciągnie...

T y m e k (*szeptem do Filipa*). A widzisz. —
(*Tarnowski i Karski stają z lewej.*)

Scena VII. Ci sami.

T a r n o w s k i (*przy oknie*). Zawita! Panno
święta.

(*Wszyscy śpiewają razem — Tarnowski ot-
wiera okno, słysząc bicie dzwonów, a że słońce
właśnie wzeszło, więc w pokoju robi się różowo.
Tarnowski przykłada.*)

(*Po odśpiewaniu wszyscy powoli wstają i gro-
madzą się przy oknie.*)

Scena VIII. Ci sami.

T a r n o w s k i (*przy oknie*). Jak piękny
wstaje świt!

(*Karski wygląda oknem, potem cofają się i sia-
dają przy stole z lewej strony.*)

T y m e k (*siada na oknie, wychyla się*). Ludzie spleszą do kościoła — ale powozu żadnego nie widać, ani słysząc! Oj, żebym to ja był paniczem, a w świat daleki mógł wędrować, ale do zakonubym nie wstąpił, mnie podoba się karabela, a szablica i na Turków iść w bój. Pójdę, jeno dorosnę i dosłużę się szlacheckiego klejnotu! (*patrzy długą chwilę przez okno*).

Pacyfik (*groźnie*). Złaz z okna (*do Tarnowskiego*). Pokrzepiliśmy się modlitwą (*obraca się bokiem ku oknu i żegna*.) Pochwalony Bóg w Trójcy Jedyny, a błogosławieństwo Boże niech z nami będzie na dzień cały.

T a r n o w s k i i K a r s k i. Amen. Amen.

Chłopcy (*Tymek stoi przy oknie*). Amen. Niech się stanie!

P a c y f i k. Śladajcie wasze miłości, zaraz jedzenie przyniesiem. Tymek! Filip! (*chłopcy poskoczyli ku drzwiom*).

T a r n o w s k i (*wstrzymuje ich ruchem ręki*). Stójcie, nie trzeba.

K a r s k i (*siadając na prawo przy stole*). Ślubowaliśmy obaj, że prędzej jadła żadnego do ust nie weźmiemy, póki jakiej wieści pewnej o Stanisławie nie usłyszymy.

T a r n o w s k i (*ściskając dłoń Pacyfika*). Dziękujemy wam, Pacyfiku, za gościnność (*siada wprost*).

Pacyfik (*siadając na skrzyni*). Czeka-
cemu czas się dłuży, ani nie wleźć czego
sobie życzyć, jedno tylko wiem, że nam tu
okropnie pusto i smutno bez naszego aniołka...

Chłopcy. Tak! był dobry!

(*Słysząc gwałtowne pukanie do drzwi, chłopcy
biegną na prawo otwierać.*)

Hugo (*za sceną*). Do stu tysięcy beczek
młodego wina, śpicie tam, czy co? Wracam
z pod »Złotej Gęsi« (*uderzenie pięścią w drzwi*).
Otwierać, otwierać! (*chłopcy odmykają*).

Scena IX. Ci sami i Hugo.

(*Wchodzi z hałasem do Tarnowskiego i Karskiego.*)

Aa, dzień dobry waćpanom, miło mi, że
was zastałem, myślałem już, że sam będę pocle-
szał się oczekiwaniem, cóż słyszać?

Karski (*opryskliwie*). Nic do tej pory.

Scena X. Ci sami i Hans.

Hans. No, Hugo, ty już nie płjesz? (*do
chłopców*) Tymek, Filip skoczyć mi zaraz na
poddasze, obaczyć, co widać na gościńcu! (*do
wszystkich*). Nie przeszkodziłem w modłach?

(*Filip i Tymek wybiegają na lewo.*)

(*Hans idzie do wnętrza i patrzy oknem.*)

Scena XI. Ciż, bez chłopców.

Pacyfik. I was, panie Hans, ruszy jesz-
cze sumienie, byle nie za późno.

H u g o. Milcz stary!

(Hans wzrusza ramionami.)

(Długa chwila oczekiwania, potem z lewej wpada Tymek.)

Scena XII. Ciż, potem Filip i Tymek.

T y m e k. Jedzie coś, kurz wstaje na drodze tumanem! *(wybiega zpowrotem, w drzwiach mija się z Filipem).*

F i l i p. Konie, bryka, kurzawa. *(Wszyscy wstają, biegają, robi się zamieszanie, Filip wybiega).*

Scena XIII. Bez chłopców.

H u g o *(ociężale siadając)*. Jak zajadą, tyle ich zobaczę.

K a r s k i *(skacze do okna)*. Pozwólcie, czy już jadą?

H a n s *(drwiąc)*. Jakby was kto ukropem oblał! Cierpliwości! *(ustępuje mu miejsca, siadając za stołem wprost, tuż przy oknie Kariski, obok Pacyfika, za nimi Tarnowski).*

K a r s k i *(gorączkowo)*. Nie włdać nic, ale z tej tam ulicy wyjechać muszą.

P a c y f i k. Zachodnią bramą, do miasta.

H a n s *(drwiąc)*. Toć dopiero na drodze byli i już chcecie ich mieć przed pałacem?

H u g o. Myślą, że to tak prędkó, jak połknąć śledzla! *(Wbiegają chłopcy z lewej, xmierrzają ku oknu, xatrzymują się).*

Scena XIV. Ciż i chłopcy.

T y m e k (*xziajany*). Już wjechali do miasta, siwy koń i kary, to napewno oni.

H a n s (*drwiąco*). Może Żyd z towarem.

T y m e k (*macha ręką*). Gdzieby zaś, takby nie gnał!

F i l i p (*łakając się, dysząc, machając rękoma*). Ja-ja-ja-da, za-za-za-raz tu są!

T y m e k (*do Filipa*). Chodź!

(*Wybiegają drzwiami na prawo.*)

Scena XV. Bez chłopców.

T a r n o w s k i (*wychodząc na środek izby*). Ale mnie to jednak zastanawia, że tak prędko są zpowrotem.

P a c y f i k (*przy oknie*). Bóg wie, co się stało.

H a n s (*drwiąco*). Schwycili ptaszka i włożą go.

H u g o (*śmieje się*). Ha, ha, ha, ptaszek!

K a r s k i (*gorączkowo*). Tak, nie co innego, tylko museli go pochwycić, ale niech mu jeno kto krzywdę wyrządzi, to jak zacznę tłuc, nie daruję (*trzaska karabelą, groźnie spogląda do koła*).

H a n s. Nie taka znów ostra.

T a r n o w s k i. Niejednego język ostrzejszy, jeno, że i taki przykrócić i przytępić można.

Hans (*zajadle*). Słusznie! choćby w magnackiej gębie!

Tarnowski (*dumnie*). Zarówno to, czy chłopskie usta, czy szlacheckie, byle czyste, a zbożne z nich spłynęły słowa.

Hans (*półgłosem*). Tfu, szczupak go-plański!

Tymek (*z prawej zagłada i woła*). Idą!

Karski (*od okna*). Już tu są!

(*Słychać tętent koni i turkot za sceną.*)

Wszyscy (*Pacyfik biegnie hu drzewiom*)
Jadą, zajechali!

(*Hugo i Hans stoją na lewo przy skrzyni, Hans na przodzie, Tarnowski w środku wnęki na lewo, Karski o stopień niżej, Pacyfik cofa się obok stołu na lewo, chłopcy otworzywszy drzwi wchodzącym, stoją wprost nad ścianą na lewo od skrzyni.*)

Scena XVI. Clż, potem Kimberker, Paweł, Biliński, chłopcy.

Kimberker (*wchodzi pierwszy, staje przy stole, opiera się o niego pięściami i spuszcza głowę*).

Biliński (*wbiega nieprzytomny, jęczy, kręci się po izbie, wreszcie siada na skrzyni wprost, zaplata ręce na kolanach*) Jezu! — Jezu! — Jezu!

Paweł (*wchodzi ostatni ciężko, chwiejąc się na nogach, blady z zaciętymi ustami, opiera się ciężko plecami o drzwi i stoi tak z odrzuconą*

głową i przymkniętymi oczyma, paznokcie rozłożonych palcy wpijają się w drzewi).

(*Chwila milczenia.*)

H u g o (*półgłosem*). Onlecieli!

Chłopcy (*ze strachem*). Nie ma panicza.

Pacyfik (*zapłatając palce roxpacxliwie, do Kimberkera*). Co się stało, panie, na Boga ukrzyżowanego mówcie, co się stało?

Karski. Czy żyje, czyście go widzieli, czy co?

Tarnowski (*wolno*). Chyba wydarzyło się coś strasznego!

Pacyfik (*do Bilińskiego z roxpaczą*). Panie!

Kimberker (*nieswoim głosem, nie zmieniając postawy*). Żyje! Ale nie w naszej jest mocy, czuwa nad nim kto inny.

Hans (*z zadziwieniem i oburzeniem*). Ojciec i wy...

Kimberker (*wskazując Bilińskiego*). Niech on opowie!

Biliński (*nie wstając, ale kręcąc się na miejscu*). Ja — — — ja nie rozumiem (*chwytając się za czoło*). Cud Boży! (*po chwili*). Spotkaliśmy go, poznali, choć w przebraniu, chcieliśmy dogonić, brać — a tu (*wstaje, mówi z przejęciem*) — światło jakieś wkoło niego. — Konie nie chciały ruszyć z miejsca. Parskały ze strachu, kręciły się jak szalone, oblały pianą, wreszcie...

Kimberker (*cicho*). Stańły dęba, ani rusz dalej...

Paweł (*żałamuje ręce nad głową, cicho*). Chryste Jezu — Chryste Jezu! (*opuszcza dłonie*).

Billński. Cud! Billśmy, popędzali, nie chciały w tamtą stronę ruszyć, a światło było coraz większe, czerwone, złote, jakby słońce na ziemię opadło — onlemieliśmy, oślepli, wtem konie ruszyły w tył i poniosły nas jak wiatr ku miastu.

Pacyfik. Boże! Miej nas w swojej opiece.

Tarnowski (*żegna się*). Amen.

Karski (*żegna się*). Amen.

(*Chłopcy żegnają się przerażeni.*)

Hans (*półdrująco*). Ojcze! uspokójcie się, przecież my niewinni! co nam do tego! (*Kimberker patrzy chwilę na syna, potem wolno idzie ku niemu i opiera się ręką na jego ramieniu*).

Hugo (*do wszystkich zdziwiony*). Przecie wam się nic nie stało?

Pacyfik (*kiwając głową*). Bóg nad nim. Światło mojeszowe, słup ognisty.

Tarnowski. Dojdzie do celu.

Hans (*zuchwale, występując nogą naprzód*). No i Stanisława niema, a ja zakład wygrałem!

Paweł (*pochyla się nagle cały ku niemu, zaciskając pięście*). Ty! ty! (*przez zęby*) przyjacielu! (*wyrywa mieczek z pieniędzy z pasa*). Masz pieniądze (*rzuca mu pod nogi*) i tę twoją

(ochrypłym, wściekłym głosem) przeklętą moc nadę mną, twoją złość wyrywam także z duszy (szarpie palcami kontusz na piersiach) ach! — gwałtownie z rozpaczą chwytając się obiema dłońmi za głowę, krzyząc) ja byłem łotr, łotr, a mój brat (ze szlochem) jest święty! (rzuca się twarzą na stół, wszyscy spuszczaają głowy).

Zasłona spada

